

Piotr Nowak: Eliot. Stwarzanie tradycji

Jaka rola przypada geniuszowi w akcie stwarzania tradycji. Co to za rola? Kim są ci, którzy nasycają epokę, w jakiej żyją, własnymi treściami, opatrując ją charakterystyczną sygnaturą, tak że epoka ta jest nie do pomylenia z żadną inną? Mam na myśli twórców będących jednocześnie myślicielami narodowymi i europejskimi – pisał Piotr Nowak. Przypominamy jego tekst w „Teologii Politycznej Co Tydzień: „T.S. Eliot. Poeta u źródeł”.

Czasami stosunek do tradycji wyraża się w naśladowaniu metod i środków, po które sięgali ci, co nas bezpośrednio poprzedzali. Kiedy indziej przejawia się on w trwożliwej adoracji wszystkiego, co przetrwało jako szacowne i z niejasnego powodu cenne skamieliny. Oba podejścia są równie zawodne. Pierwsze ma krótkie nogi: epigonizm bywa zazwyczaj bezmyślnym lub koniunkturalnym pochlebstwem i szybko wyczerpuje swą siłę lub zmienia się we własne przeciwieństwo. Podejście drugie wynika ze stanu dezorientacji, w którym czci się na chybił trafił wszystko, co było i minęło. A jednak przyswajanie tradycji nie może polegać na jej bezmyślnym wchłanianiu, gdyż nie dowiemy się wtedy, dlaczego coś, co cieszy się wielkim powodzeniem, nagle na setki lat znika, by równie nagle, nie wiadomo skąd i za jaką przyczyną, gwałtownie wypłynąć na wierzch. Tak stało się z twórczością Hölderlina, która umilkła na całe sto lat, następnie zaś zmartwychpowstała i w niewytłumaczalny sposób wniknęła we

współczesną niemczyznę. Wynika stąd, że tradycji nie dziedziczy się w prostej linii, tradycję dopiero się stwarza – zawsze na zakwasie przeszłości, nigdy od zera.

Oczywiście, nie ma najmniejszego sensu otwieranie drzwi od dawna otwartych. Taką ambicję żywią jedynie ci, którzy próbują ujmować sens własnej kreacji w oderwaniu od tradycyjnego przekazu, tak jakby chcieli podnieść dotychczasową myśl na swój własny, nieskończenie wyrafinowany poziom. Skłania ich do tego próżność, częściej zaś przekonanie o postępie w sztuce i filozofii. Nie wiedzą przy tym lub nie chcą tego wiedzieć, że piękna czy myślenia się nie poprawia, nie wydoskonala; na przestrzeni dziejów utwory artystyczne, traktaty filozoficzne, dzieła sztuki nie stają się lepsze. Co najwyżej zmienia się ich materiał lub zapotrzebowanie na nie. Każdy, kto stwarza tradycję – czytamy u T.S. Eliota – „rozumieć musi, że myśl europejska – myśl ojczysta – to myśl ważniejsza, jak się z biegiem czasu przekonywa, od jego własnej, prywatnej myśli – to myśl podlegająca zmianom, a zmienność jej to rozwój, który niczego nie gubi po drodze, w toku którego nie starzeją się ani Shakespeare, ani Homer, ani malowidło skalne okresu magdaleńskiego; że ten rozwój, niekiedy wzrastający subtelnie, na pewno skomplikowanie, nie stanowi z punktu widzenia artysty żadnych ulepszeń” (przeł. H. Pręczkowska).

*Tradycję dopiero się stwarza –
zawsze na zakwasie
przeszłości, nigdy od zera*

Nieuchronnie
zbliżamy się do
pytania o rolę, jaka
przypada geniuszowi
w akcie stwarzania
tradycji. Co to za

rola? Kim są ci, którzy nasycają epokę, w jakiej żyją, własnymi

treściami, opatrując ją charakterystyczną sygnaturą, tak że epoka ta jest nie do pomylenia z żadną inną? Mam na myśli twórców będących jednocześnie myślicielami narodowymi i europejskimi. Należy do nich Goethe, ale nie Wordsworth, angielski poeta narodowy, nie Hölderlin, którego „niemota” przenosi w zaświaty presokratyków. „Możemy uznać – pisze Eliot – pozorny paradoks, że poeta europejski jest zarazem, i to w pozytywnym sensie, człowiekiem przynależnym do swojego narodu, kraju, kultury nawet w wyższym stopniu niż poeta ceniony wyłącznie przez swych rodaków. Jednocześnie czujemy, że poeta europejski, niezależnie od jego przynależności narodowej, jest naszym własnym rodakiem, jak też przedstawicielem – jednym z największych przedstawicieli – swojego własnego narodu. Tego rodzaju człowiek może pomóc swoim rodakom zrozumieć samych siebie, a także pomóc innym ludziom zrozumieć i zaakceptować ich” (przeł. A. Serafin).

Geniusz pokonuje granice nie tylko pomiędzy narodami; on je tak samo znosi w sferze ducha, unieważniając dystynkcje między poezją a nauką, nauką a filozofią, filozofią a religijnym namysłem nad naturą. A wtedy wydaje się, że nie kroczy on w awangardzie epoki, lecz występuje przeciw niej. W tym sensie Goethe mógł mylnie utrzymywać, że w jego czasach uczeni po prostu nie mają racji, oni sami zaś – że to poeta się myli, że łatwiej mu o pomyłkę niż im, armii zdyscyplinowanych urzędników ducha. Zrozumiały jest więc olimpijski gniew Goethego na fizykę Newtona. Genialny poeta był bowiem przekonany, że wystarczy spojrzeć, by poznać prawdę. Nie znaczy to, że należy stawiać go w jednym rzędzie z padewskimi nauczycielami filozofii, którzy odmawiając spoglądania przez nowo wynaleziony teleskop, twierdzili, że prawdę da się wyspekulować ze scholastyki.

*Geniusz pokonuje granice nie
tylko pomiędzy narodami; on
je tak samo znosi w sferze
ducha, unieważniając
dystynkcje między poezją a
nauką, nauką a filozofią,
filozofią a religijnym
namysłem nad naturą*

Goethe nie bał się
teleskopu, nie bał się
twierdzeń Newtona.
On chciał jedynie,
aby zjawiska mogły
„jawić się w całej
prostocie,
wypowiadać swe
pochodzenie i
wskazywać na
następstwa”
(Goethe,

Farbenlehre); pragnął urządzić świat tak, aby hipotezy na jego temat
nie przesłaniały urody fenomenalnej rzeczywistości. Człowiek nie
wchodzi w krąg oddziaływania natury jak intruz, który się jej
przeciwstawia. On ma w nią wnikać, wychodząc z samego jej wnętrza.
Teleskop nie rozwiązuje tajemnic przyrody, on „czyni z niej
nierozwiązywalną zagadkę” (*Farbenlehre*).

Trzysta lat po Koperniku, dwieście po Galileuszu, sto lat po Newtonie,
na czas swego życia przywraca Goethe naturze godność i
pierwszeństwo, odebrane jej przez nowożytnych uczonych. Albowiem
sama natura – pisał w Refleksjach i maksymach – „wypełnia swą
bezgraniczną twórczością wszystkie miejsca. Przyjrzyjmy się choćby
tylko naszej Ziemi: to, co nazywamy złem, nieszczęściem, bierze się
stąd, że nie może ona użyzyć miejsca wszystkiemu, co powstaje, ani –
tym bardziej – zapewnić mu trwałości” (przeł. J. Prokopiuk). I dalej:
„Gdy zdrowa natura człowieka działa jako całość, czuje się on w świecie
jak w wielkiej, pięknej, godnej i cennej całości; gdy harmonijne
istnienie zapewnia mu czystą, naturalną rozkosz, to wszechświat,

gdyby mógł doznawać sam siebie, radowałby się osiągnięciem celu i podziwiał szczyt własnego rozwoju i istoty. Czemu bowiem miałby służyć ten bezlik słońc, planet i księżyców, gwiazd i dróg mlecznych, komet i mgławic, powstałych i stających się światów, gdyby na koniec jakiś szczęśliwy człowiek nie uradował się bezwiednie swoim istnieniem?” (Goethe, *Winckelmann und sein Jahrhundert: in Briefen und Aufsätzen*).

Piotr Nowak

Tekst pochodzi z kwartalnika „Kronos” nr 1/2018, s. 3-4.